Spotkanie — Nihil Vanite

Od autora: O tym, jak przyjmować świat dokładnie takim, jakim jest. Nawet jeśli wydaje się to trudniejsze niż kiedykolwiek.

-Spotkanie-

Umówiłem się z Tobą na spotkanie. Mieliśmy się zobaczyć koło czwartej po południu i jak zwykle pogadać. Bardzo lubię te spotkania, każde z nich daje mi mnóstwo ciekawych przemyśleń i powoduje, że skumulowany w postaci draperii, przysłaniającej mi oczy niepokój nagle rozpływa się i zlewa ze światem, tak jakby znalazł w swoim przeciwieństwie – w harmonii – dobrego znajomego.

Droga, którą szedłem by się z Tobą zobaczyć, była długa i prosta. Z prawej i z lewej strony rosły w dwóch rzędach wysokie drzewa, to chyba były świerki. Kiedy tak spacerowałem, zmierzając powoli w Twoją stronę, napotykałem na swojej drodze niewielu ludzi, a tych, którzy zdecydowali się wybrać tam, gdzie i ja zmierzałem, mieli twarze pachnące strumieniami wczorajszych łez. Patrzyli wszyscy w ziemię, odzywali się tylko jeśli było to konieczne lub jeśli szli grupami – wówczas rozmawiali między sobą, ale ich wypowiedzi brzmiały bardzo niepewnie, delikatnie; między jednymi ustami, a drugimi, wiatr przenosił na swoich skrzydłach cienie słów i echo dźwięku.

Czy ci wszyscy ludzie, których spotykałem zawsze musieli być tacy smutni? Przecież tak samo jak ja udawali się na spotkanie z kimś bliskim. No chyba, że na spotkania, na które się umawiali szli z przymusu i przez grzeczność, bo tak wypada. Powinienem wziąć to pod uwagę. Ale dość o smutku, przecież dochodziła trzecia, już niedługo mieliśmy się po raz kolejny zobaczyć. Wiesz, co w naszych spotkaniach było i wciąż jest dla mnie najbardziej wyjątkowe? To, że, kiedy Cię widzę, przez chwilę istniejesz tylko dla mnie i nikt nie ma prawa nam przeszkodzić w naszych rozmowach. Podziwiam Cię, bo zawsze potrafisz znaleźć taki temat, którego nie wyczerpie nawet najdłuższa erudycyjna wypowiedź, jaką mógłbym sobie wyobrazić. Szczególnie ciekawi Cię czas, to, jaka jest jego natura i jak my go postrzegamy.

Kiedyś czekaliśmy razem na autobus. Wracaliśmy z hali sportowej. Opowiedziałem Ci wtedy o konkursie, na który zgłosiłem swój wiersz i dostałem się do następnego etapu. Chciałeś go przeczytać, więc wręczyłem Ci go i w napięciu oczekiwałem na werdykt. Stanowisz dla mnie autorytet, więc za każdym razem, kiedy opowiadam Ci o swoim osiągnięciu, najbardziej ze wszystkich rzeczy na świecie pragnę usłyszeć tych parę słów uznania i pochwały; lecz nie chodzi tu o pochwałę konwencjonalną, którą każdy mógłby wygłosić, ale o pochwałę rzeczową, podkreślającą konkretne aspekty mojego dokonania. Przeczytałeś mój utwór i spytałeś się mnie, czy uważam, że czas ma nad nami kontrolę. Nie umiałem Ci wtedy odpowiedzieć, bo nie byłem pewien, czy dobrze zrozumiałem pytanie. Wyjaśniłeś mi wtedy, że z treści mojego wiersza wynika taki pogląd uznający czas za coś, co bezpowrotnie nas zniewala. Milczałem długo i do dziś nie pamiętam jak brzmiała moja odpowiedź. Od tamtego momentu trochę się we mnie pozmieniało i nie uważam już, że czas nas zniewala. Wydaje mi się raczej, że godzimy się na to, by płynąć razem z nim.

Pamiętam takie spotkanie, którego niestety żałuję. Zobaczyliśmy się na szkolnej wigilii. Nie jestem pewien, czy miałem wówczas chandrę i nie potrafiłem jakoś sprawnie poprowadzić rozmowy czy po prostu z niejasnych przyczyn na ten ułamek sekundy zrodziła się we mnie tajemnicza niechęć do Twojej osoby. Jedyne, co potrafiłem wtedy powiedzieć, to suche i pozbawione całkowicie wyrazu „cześć”, które do dziś brzęczy mi w głowie niczym szczęk zimnego metalu. Brzmienie tego jakże lapidarnego słowa kojarzy mi się teraz z jakąś cząstką okrucieństwa, która drzemie w każdym z nas i wydaje na świat zgniłe owoce

zamglonej prawdy lub ostrego fałszu. Bardzo długo nie mogłem sobie wybaczyć, że powiedziałem wówczas tylko to jedno słowo i nawet nie spojrzałem Ci w oczy, nieświadomy tego, jak wiele mogło do tego spojrzenia zależeć. Czasem, kiedy się nad tym głębiej zastanawiałem, dochodziłem do wniosku, że to niewydarzone spojrzenie mogło stanowić jakby punkt transcendentalny pomiędzy dwoma przeciwnymi zupełnie światami, zbudowanymi antagonistycznie, tak, że kiedy jeden się rozszerzał, drugi bezradnie kurczył się i uginał, by tamtemu zrobić miejsce.

Wybiła czwarta. Dotarłem na umówione miejsce. Stanąłem w miejscu i westchnąłem. Powietrze wokół wypełniała woń kwiatów i dymu, te dwa obecne w nim zapachy rozproszyły się w przestrzeni i przenikały się nawzajem, konstruując tym samym skomplikowaną zagadkę do rozwikłania dla moich zmysłów. Dobrze znałem te kombinację zapachów i wiedziałem z czym mi się kojarzy, z czym kojarzyć się powinna każdemu, kto miał okazję kiedyś wchłonąć ją głęboko do siebie i zatrzymać jako ulotny błysk – jako wspomnienie. Sięgnąłem do kieszeni po pudełko zapałek. Wyciągnąłem jedną i spuściłem wzrok. Patrzyłem na mogiłę.

Wyciągnąłem harmonijkę ustną i zagrałem melodię kolędy dla nieobecnych. Sam nie wiedziałem, czy wierzyłem w jej słowa, ale spośród wszystkich lirycznych form wyrazu tęsknoty, które znałem, ta najlepiej odzwierciedlała obecne we mnie uczucie. Starałem się przez te kilka minut cały ból, całe zgromadzone przez lata cierpienie, wlać w instrument i pozwolić, by wyrażał smutek łzy w każdej tercji małej, a w każdej tercji wielkiej ukrywał cichą nadzieję. Kiedy skończyłem grać, poczułem, że uwolniłem z siebie coś, co od dawna ciążyło mi na sercu niczym głaz, którego nie potrafiłem, jak Syzyf, wtoczyć na górę, której szczyt stanowiłoby pogodzenie się z losem.

Byłeś niezwykłym człowiekiem, chciałeś zrozumieć świat i ogarnąć go wszystkimi zmysłami. Grałeś wzruszające i przenikające do głębi melodie na saksofonie, do których nut nigdy nie spisałeś, bo twierdziłeś, że wszystkie pamiętasz. Wydawałeś się niezwyciężony, tym czasem sam dla siebie okazałeś się zbyt dużym ciężarem. Nie zmierzam chować do Ciebie urazy o to, że tamtej wigilii zostawiłeś nas wszystkich, żegnając się na zawsze ze światłem dnia by przywitać mrok wiecznego snu. Chciałbym Ci tylko powiedzieć, że jeśli gdzieś tam jesteś, powiedz mi, wytłumacz dlaczego zrezygnowałeś z życia i położyłeś kres historii, pisanej piórem wydarzeń dzierżonym we własnej dłoni?

Poczułem się jak idiota. Stałem nad grobem i gadałem do siebie. Jaki to wszystko ma sens? Pomyślałem. W odpowiedzi echo zagrało parę fraz swojej enigmatycznej melodii. Tylko jedno, szorstkie, ostre i bezwzględne „cześć" – oto na co było mnie stać, kiedy spotkałem Cię po raz ostatni. Wiesz, to jasne, że tam na dole leżą już tylko resztki Twoich kości, że cała Twoja istota, to, jaki byłeś za życia zniknęło pozostawiając ślad jedynie w pamięci Twoich bliskich. Jednak Twoje imię i nazwisko, w połączeniu z krótkim epitafium skłaniają mnie do skojarzenia tego skrawka ziemi właśnie z Tobą. Chyba nigdy nie zapomnę tej historii, tego utworu, który na Twoim pogrzebie ktoś grał na trąbce, tej okrutnej ciszy i tego szumu na każdej stacji telewizyjnej, która emitowała program o Twoim tragicznym końcu. Odchodzę pozostawiając zapalony znicz. Niech chociaż ten płomień tu pozostanie, niech do momentu, kiedy spadnie następny deszcz i po raz kolejny pokaże jak efemeryczna jest ludzka nadzieja, ogrzewa Twoje zmarłe serce uczuciami, które w nas pozostawiłeś. Naprawdę miło było Cię znów zobaczyć.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

Nihil Vanite, dodano 17.03.2017 19:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.